

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 16.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{2}{14}$ stycznia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Leon Szubert (z dwoma drzeworytami). — Kronika tygodniowa. — Kronika sztuk pięknych. — Olesko (z drzeworytem). — Famulus Zółkowskiego (z drzeworytem). — Korrespondencya „Tygodnika Ilustrowanego”. — Korrespondencya od redakcyi. — Odezwa dyrektora Instytutu muzycznego warszawskiego. — Kwestya podrzędna, przy kominkowym ogniu rozbitana. — Wiesniacy z okolic Biezza (z dwoma drzeworytami). — Szachy i rebus.

Leon Szubert.

Dzienniki pisały już z wielkiem współczuciem o wczesnym zgonie Leona Szuberta, rzeźbiarza, który w początkach swego artystycznego zawodu żyć przestał. Wprawdzie kilku naszych artystów zgasało w młodym wieku, ale po żadnym żal nie był tak prawdziwym, tak rzewnym, jak po Szubercie. To jedno pokazuje, że ci co go znali, co jego utwory widzieli, musieli mieć o jego zdolnościach wielkie wyobrażenie, o pracy i sile woli głębokie przekonanie, a o przyszłości najświetniejsze przecucia. Tak było w istocie, i ztąd żal nieutulony. Bo cóż elegiczniejszego nad ten zgon młodzieńca, rzucającego po za siebie okiem, w godzinie konania, na tę krótką metę, przebieżoną w móżdżkach nauki, w walkach ze sobą samym, w walkach z tajemnicami tworzenia, pełną wiary, rozczarowań, nadziei, upadków, tych zwykłych dziejów ducha pasującego się z nieposłuszną i bezwładną materją! Śmierć skończonego mistrza, co posłannictwo swoje spełnił jeszcze przed końcem ziemskiego zawodu, co się w grób położył, jak Kochanowskiego „kłos dojrzały”, mniej bywa dla serc dotkliwą, choć dla imienia głośniejszą. Tu już ostatnie słowo wypowiedziane — tam, ledwo pierwsze, a dalej — zagadka, którą wyobraźnia w olbrzymie rozmiary dopełnia, a serce krwawi się, że to na wieki stracone!

Jakichże dopiero boleści nie musiał doznawać nieszczęśliwy młodzian, kiedy od dwóch lat widząc zruinowane swe zdrowie, z każdym dniem gasnące siły, a na duchu czując się czerstwym, wyobraźnią płodnym, ciąglą żądzą tworzenia trapiącym, nie mógł nasycić wewnętrznego pragnienia i żadnej z tych myśli urzeczywistnić, jakie w gorączkowym stanie tém gwałtowniej były na umysł, im bardziej upadały siły fizyczne? Cóż powiedzieć, jeżeli jeszcze do tego ciągle miał przed oczyma zaczęte dzieło, w które włożył był cały ogrom swych studyów, całe bogactwo myśli, którym chciał dobić się sławy i imię swoje zapisać w szereg europejskich artystów! Są to męczarnie ducha, tym tylko wiadome, co się pasowali z demonem natchnienia, co podobni do tonącego, bili ramionami w koło siebie, aby wybrnąć z zabójczego żywiołu i odetchnąć

pełną piersią, co dobywali ostatnich sił, aby się wyplątać z podwodnych gałęzi i chwastów, przykuwających ich do dna.

Przez to wszystko przechodził Szubert. Hugo napisał cały tom o ostatnim dniu skazanego na śmierć: ileżby tomów nie można napisać o ostatnich dwóch latach skazanego na śmierć artysty!

Lecz opowiedzmy ten zapełniony choć krótki bieg życia Szuberta.

Urodził się on r. 1829 w Oświęcimie, stolicy niegdys księstwa oświęcimskiego, leżącego o siedm mil od Krakowa. Po odbyciu licealnych nauk, zapisał się

wiedzy i tajemnice sztuki, zawsze należy do przykrych wrażeń. Lecz od tego i najwięksi mistrze nie byli wolni: Michał Anioł terminujący u Grillandajo w podobnym był położeniu, z tą różnicą, że gwałtowny geniusz jego wszędzie sam sobie torował drogę, kiedy talent z trudnością wyzwala się z pod nacisku. Mimo doświadczonych zawał w początku swego kształcenia się, prędko tryumfowała wrodzona zdolność Szuberta. Kilka prac rzeźbiarskich wykonanych w szkole zwróciły na siebie uwagę, i wyjednały mu, że jako pensjonarz akademii krakowskiej wysłany został na naukę do Wiednia. W ciągu jednorocznego tamże pobytu, tak umiał nauczycieli i znawców zainteresować, że nawet po dziennikach odezwały się głosy podnoszące zadziwiający talent Szuberta, co w stolicy pełnej uprzedzeń przeciw zdolności Polaków, jeszcze do sztuk pięknych, musiało dowodzić niepodobieństwa walki z oczywistością. Gdy tedy wiedeńska akademja nie odpowiadała rozmiarom, jakie talent Szuberta przybierał, wysłano go do Monachium, gdzie lat dwa spędził na naukach. Z tej epoki dwa jego utwory dostały się do kraju: wielka grupa Chrystusa, otoczonego drobnymi dziećmi, i posąg kolosalny Chrystusa, zrobiony do kaplicy Przeddzieckich u księży dominikanów w Krakowie. Jak w jednym, tak w drugim utworze przemawia wdzięk, harmonia i miękkość konturu; lecz niema jeszcze tej siły, tej samodzielności tworzenia, jaka dopiero zdobywa się w pełni rozwinięcia.

Rok 1855 zastał go we Włoszech, które zwidziwszy, osiadł w Rzymie, tej piastunce wszystkich talentów. Oddany z ognistym zapalem sztuce, lubił przebywać w gronie rodaków, mianowicie takich, co się poświęcali bądź poezji, bądź malarstwu i rzeźbie, bądź pałali miłością dla tych arcydzieł, przez które Rzym jest podwójną stolicą świata. W chwilach pracy odjętych, najmiliej mu było albo w takim towarzystwie przebywać, co go wiązało z rodzinną ziemią, albo biedz na rozważanie nie-

śmiertelnych wzorów watykańskich i kapitolinijskich, lub nareszcie zwidząc pracownie znamienitych cudzoziemskich artystów, którzy nareszcie odgadłszy go, ofiarowali mu przyjaźń i ścisłą zażyłość. Często jednakże mając do walczenia z niedostatkiem, tym nieodstępny towarzyszem artysty, nie użalał się ani na los, ani na ludzi; owszem tém głębiej wierzył w tę przyszłość, jaką zdobyć sobie postanowił własnymi siłami. Pracownia jego, jako rządowego pensjonariusza w pałacu austriackiej ambasady na *piazza di Venezia*, gdzie także zajmował skromne mieszkanie, była niegdys pracownią Kanowy, o czem powiada dwuwiersz na wchodowej bramie. Nigdy też znakomitości dypl-



LEON SZUBERT.

(Rysował Elias w Krakowie, rytował G. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

na akademją sztuk pięknych w Krakowie, na oddział rzeźbiarstwa; czuł bowiem od dzieciństwa pociąg ku tej sztuce. Szkołą tą kierował podówczas professor malarstwa Sztattler; rzeźby uczył professor Kossowski. Później, w czasie pobytu swego w Rzymie, z żalem wspominał Szubert o latach marnie strawionych pod Sztattlerem, który go uczył rysunku; metoda bowiem jakiej się trzymał pomieniony nauczyciel, mianowicie względem uczniów obdarzonych wrodzonym talentem, niedostatecznie rozwijała ich zdolności. Wspomnieć jak się zmarnowało kilka najpiękniejszych lat, wtenczas, kiedyby się chciało z każdej minuty korzystać, aby ogarnąć wszystkie zdobycze

matyczne i dostojni sztuk pięknych mecenasi i miłośnicy nie omijali pracowni naszego rodaka, a tém bardziej mistrze zamieszkujący Rzym nawidzali go i radą wspierali. Znana potęga w świecie sztuki, Cornelius, lubił mu rad swych udzielać; Overbeck świetną zapowiadał mu przyszłość w zawodzie religijnej kompozycji, ku której skłaniał się jego talent, pchało uczucie; Tenerani widział w nim godnego po sobie następcę, a nasz Sosnowski stawiał go najwyżej wśród młodej generacji polskich rzeźbiarzy bawiących w Rzymie. Tak tedy w Rzymie Szubert, otoczony najwyższymi pomnikami sztuki, w duchowym obcowaniu z najgenialniejszymi mistrzami żyjącymi zostający, pracował bez wypoczynku, już to rzucając do kompozycji pomysły na papier, już wykonywając je z gliny i w odlewach gipsowych. Głęboko religijny, usiłował on myśl chrześcijańską przyodziać w doskonałą skończoność wzorów rzeźby starożytnej, czyli zlać ideał piękności moralnej, z ideałem piękności cielesnej.

Przedmioty jakie wykonywał, należące najwięcej do świata religijnego, zdają się mieć charakter wysokiej czystości, połączonej z wdziękiem formy, który to wdzięk nie był wyszukany środek podobania się, lecz płynął z duszy, tłumaczącej się ze swoich uczuć harmonią linii. Z przedmiotów świeckich nie jeden pomysł napełnił jego tekę artystyczną. Między innymi narysował on kilka grup z Konrada Wallenroda; zaś podług jednej z najpiękniejszych poezji Uhlanda: „Przekleństwo śpiewaka“ wykonał grupę kolosalnego rozmiaru, wymodelowaną z gliny, a następnie z gipsu odlaną. Nie mając środków do założenia snycerskiego warsztatu, myśli swoich nie uwiecznił w marmurze; lecz niemniej dlatego twory jego żyją, i zapewne dłużej żyć będą, choć w wątłym materiale, niż niejedne z kosztownego marmuru lub brązu posągi. Jak suknia nie robi mnicha, tak kosztowny materiał nie robi dzieła sztuki. Grupa „Przekleństwo śpiewaka“ (której tu dołączamy drzeworyt, ob. str. 128) najlepiej przekonywa, jak Szubert umiał się przejmować przedmiotem i jak wymownie tłumaczył się z zadania. To śliczne pacholę, umierające na rękę starca, jak kwiat podcięty, ta róża z rąk mu wypadająca, ta lutnia upuszczona, i ten wyraz w obliczu ojca, wyzywający pioruny niebios na głowę zbrodniarza, co zamordował niewinne chłopię-śpiewaka, wszystko to tworzy skończony dramat. Nie znając nawet Uhlandowej poezji, wyczytasz z tej grupy, że okropna zbrodnia na dziecku dokonana, wywołuje przekleństwo na głowę zabójcy, przekleństwo zawarte w strasznych rysach rozpaczającego starca, i w tém podniesionem ramieniu, co jakby z niebios dopominało się zemsty po zemście. Ile tu czucia lirycznego, ile męskiej siły! Znać, że ten starzec, to nie zwykły wędrowny śpiewak, ale jakiś skald, wieszcz narodu, prorok, co ze swoimi bogami rozmawia. Czujesz, patrząc nań, że siłą jego zaklęć wszystko się spełni, co rzucił w oczy, co zapowiedział zabójcy dziecka, przynoszącemu w jego progi słowa pokoju i miłości... Oprócz doskonałości tej kompozycji samej dla siebie, to jeszcze mówi na jej zaletę, że artysta nie poprzestał na samem komentowaniu poetycznego utworu, ale go całkiem przelał w swoje dzieło. Ten jeden płód Szuberta może mu zapewnić jedno z pierwszych miejsc między rzeźbiarzami nowożytnymi. Inne jego prace z tego czasu, pozostały jako dowód ciągłych studyów, lub się ograniczały na portretowaniu w medalionach jego przyjaciół i znajomych, lub nakoniec stosowały się do okoliczności, jak grupa *konkordat*, modelowana w r. 1856, a przedstawiająca Piusa IX i cesarza Franciszka Józefa, podających sobie ręce. Chociaż fantazja poety miała tu szczupłe pole, mimo tego figury obie pomyślane są z godnością i w stylu wyższym, odpowiednim wielkości aktu. Z powodu tego dzieła otrzymał Szubert przedłużenie stypendyum na dwa lata jeszcze, co liczone do rzadkich wyjątków.

Przez cały rok 1856 i 1857, obok innych robót, zajmował się także z gorącym zamiłowaniem grupą więcej niż naturalnej wielkości, wyobrażającą „Ukoronowanie Chrystusa.“ Składała ją trzy figury: Chrystus, żołnierz który go cierniem wieńczył i drugi, który biczował Zbawiciela. Odczytując pełne ściślej rzeczywistości, natchnione objawienia Katarzyny Emmerich, chciał je powtórzyć w swoim utworze. Z razu wymodelował był biczującego żołnierza klęczącego, lecz później, z porady któregoś rze-

źbiarza, chciał go zrobić stojącego. Ta zmiana wymagała przerobienia grupy: w miejsce dawnych kazał dać nowe pręty żelazne, mające utrzymywać glinę. Gdy tedy raz, pracując, potrzebował nagiąć czy obrócić szkielet żelazny, użył całej siły, i w tém natężeniu uczuł jakby zerwanie się jakiegoś wewnętrznego naczynia, co natychmiast spowodowało obfity krwotok. Przywołany lekarz wypadek ten przypisał piersiowej chorobie, i zaczął go leczyć częstym krwi upuszczaniem. Metoda ta do reszty zruinowała wątłe zdrowie artysty. Napróżno szukał, przez ciąg dwuletni, to wiejskiego świeżego powietrza w górach i nad morzem, to powstrzymywał się od wszelkiej pracy — nie nie pomagało! siły jego codziennie nikły, bez nadziei polepszenia. W końcu tyle tylko pragnął, aby przynajmniej na rodzinnej ziemi głowę położyć. Lekarze radzili toż samo, powiadając że nasze północne powietrze zbawienniejszem mu będzie, niż wycieńczające włoskie upały, zwłaszcza w tym nadzwyczaj gorącym roku. Chwył się tej rady dogorywający Szubert, i w towarzystwie brata, uczącego się malarstwa w Rzymie, przyjechał w początku września r. z. do Oświęcima, gdzie w parę tygodni na łonie rodziny ducha oddał. Zgon jego przypadł w dniu 18 września 1859 r.

Nie przeczuwał on, że w tém pacholęciu, co ugodzone śmiertelnym ciosem na rękę starca ojca ducha oddaje, własny swój wizerunek przedstawił. Ową królową była dla niego sztuka, którą ubóstwiał, dla której wczesną śmierć poniósł — a różą, rzuconą mu od królowej, były jego pomysły i utwory, mające długo mówić o talencie i natchnieniu rzeźbiarza.

Na świadectwo czém był L. Szubert i jak szczytnie przeżył swą młodość, nie byłoby od rzeczy wystawić mu pomnik, ale z własnych utworów jego ducha. Wydać album licznych rysunków, jakie po nim zostały, byłby to najlepszy sposób przekazania go potomności.

Kronika tygodniowa.

Rzemiosło tancerza staje się coraz bardziej nieopłatnym tutaj.

Bo i gdzie, bo i kiedy te nieszczęśliwe ozdoby salonów zdołają użyć swoich talentów? Karnawał szuka okazji, ale jej nie znajduje. Widocznie przeznaczone już jest jemu umrzeć na konsumpcję. A dzieje się z nim niemal to samo-co z zimą, mamy zimę bez mrozu prawie, mamy karnawał bez zabaw.

A i nie sądzicie czytelnicy żeby to jedno z drugim styczności nie miało. Chociaż taniec rozgrzewa, a mróz lodowaci, chociaż do zabawy trzeba ciepła w człowieku, a mróz bardzo naturalnie jest zwiastunem i propagatorem zimna; to jednak te dwie ostateczności mają z sobą pewien niezmienny stosunek, który zawsze spostrzegać się daje. Niech będzie piękna zima, zima prawdziwie polska, zima jakiej już dawno nie mieliśmy, z dniem ubrylantowanym od słońca, a nocą połyskującą gwiazdami, ze śniegiem skrzypiącym pod nogami, a sankami dzwoniącymi po mieście, z tą rzeźkością, raźnością, zdrowiem, dobrą myślą, które nam daje ta pora najlepiej jako zastosowana do natury, do usposobień naszych; niech mówię taka zima choć raz do nas zawita, a zobaczycie że wróci ochota do wszystkiego, do zabaw i tańców, do wesel krakowskich, szlichtad i kuligów.

Bo i odprawiając tu szlichtady i kuligi po błocie, przy ołowianem niebie i deszczu kapiącym z rynien; samo niebo rozpląkało się na dobre, a ludzie mają się cieszyć na ziemi. Bo zima, to dzieciństwo roku, ten stan niewinności ziemi, ta biała sukienka, którą ona się pokrywa, jest tylko symbolem. A wiadomo że tylko niewinni prawdziwie cieszyć się mają prawo i najlepiej się bawią. A przytém w czémże się najbardziej lubuje natura ludzka? Oto w kontrastach. Po długiej a męczącej podróży, jakże miłym jest rodzinny kątek, po przebytych niebezpieczeństwach, ileż rozkoszy doznajemy, widząc się na nowo w gronie serc kochających i pod ochroną domowej strzechy. Tak kiedy kilkanaście stopni mrozu iskrzy się na dworze, całą wspaniałością lodowatych klejnotów swoich, kiedy bez ciepłego futra trudno się wychylić na ulicę, zimno oddech zapiera, a nogi z trudnością w zaspach śniegu szukać muszą drogi swojej; kiedy

jak to mówią, człowiek własnego nosa i uszów niepewny, w ówczas ujrawszy się nagle w salonie dobrze ogrzanym, napełnionym tą wonią atmosfery balowej, która od wejścia zaraz upajająco działa na zmysły, pośrodku tysiąca jaśniejących świateł, wśród tych tualet lekkich i powiewnych, które zdają się urągać lodowatej temperaturze iskrzącej na zewnątrz, w pośród tego ogólnego gwaru i szumu życia, stanowiących dziwne przejście od uroczystej ciszy ulicznej, (bo jak wiadomo śnieg wszelkie przygłusza dźwięki); wówczas mówię życie rozbudza się w nas w całej pełni i jakas szalona żądza zabawy ogarnia nam zmysły, wiruje w głowie, tętni w sercu.

Ale baw się tu przy ciągłej mgle błocie i tej niezdolnej londyńskiej atmosferze, którą widocznie Pan Bóg nas skarcił za nasze pochopy do anglomanii.

Pocieszamy się jak możemy w tej karysty zabaw koncertami i teatrami amatorskimi. O pierwszych niema co mówić, szczęśliwa pora zabłysła dla nich, Warszawa rozmuzykowała się na dobre, izdaje się od roku mniej więcej, każdemu z nas w dwójnasób uszów przybyło. A proszę tego mego wyrażenia wcale nie brać w ironicznym znaczeniu, owszem, cieszę się szczerze, że staranny wybór dzieł wykonanych, że poważna i klasyczna muzyka zwabia licznych słuchaczy, jak to się dzieje na peryodycznych koncertach resursowych, przez p. Kąskiego urządzanych. Niech wzrasta usposobienie do piękna; w jakiejbyś zawita ono do nas formie, zawsze błogie przyniesie owoce. Nie małą jest nawet dla nas pociechą smutny los Marsjasza niemieckich orkiestr ulicznych, którego Apollo koncertowy powoli obdziera ze skóry, bo i pocóż ten brzydki Satyr zaglądał do nas, niechajby sobie był siedział w swojej rodzinnej ziemi. A był jednak czas, w którym naprawdę zdawało się że Warszawa zasłużyła na nieszczęsny los króla Midasa, który, jak wiadomo, obraziwszy przeciwko sobie bogów swoim niefortunnym sądem, zyskał za to ozdobę głowy, którą potem starannie, chociaż nieskutecznie ukrywać musiał przed swoim cyrulikiem. Na szczęście Apollo pogodził się z nami, przynajmniej co się tyczy muzyki, i cyrulicy warszawscy nie potrzebują już zakopywać tajemnic naszych w dołkach, z których potem wielomówne trzciny wyrastają.

Co do teatrów amatorskich, nie pierwszy to raz ich powodzenie tutaj zanotować nam wypada. Ale nigdy one nie rozpoczynały swojego panowania w samymże karnawale, owszem zwykle czekały cierpliwie, aż dopóki post nie oszczędzi im balowego współzawodnictwa. Obecnie postać rzeczy zmieniła się. Teatra amatorskie weszły w porządek dzienny, i nie dbają wcale czy im przygrywa muzyka taneczna, nie lękają się wcale konkurencji polek i walców. Dwa na to złożyły się powody: pierwszym jest tylokrotnie już wspomniany mały popęd do zabaw tańczących, drugim zaś brak rzeczywistej nowości teatralnych, które dla Warszawian zawsze jedno z najmilszych stanowiły zajęć. Więc gdy góra nie chce przychodzić do Mahometa, Mahomet sam idzie do góry, i drapie się jak może na strome wyżyny sztuki. Niedawno na jednym z teatrów amatorskich przedstawiono „Szlachectwo duszy“ Chęcińskiego. Podobno także niektóre ze sztuk konkursowych, czekające dotąd nadaremnie gościnności w świątyni Talii, mają także znaleźć przytułek w prywatnych kółkach. Chwalimy ten zamiar podnoszenia choć tym sposobem sztuk oryginalnych, musimy tu jednak zrobić uwagę, której zastosowanie byłoby, o ile nam się zdaje, bardzo korzystnym dla owych amatorskich przedstawień.

Najtrudniejszym w takich razach jest wybór sztuki. W grze amatorów nie zawsze potrafi się wydać to, co właśnie dla artystów stanowiłoby niezawodne źródło powodzenia. Komedye przedstawiane na teatrach amatorskich powinny być przede wszystkim bardzo wesołe i dowcipne, bo tutaj sztuka sama musi grać za artystów, autorowi nieraz aktora zastąpić wypada; więc komedia poważna, salonowa wielkich rozmiarów, bardzo często z braku stosownych tłumaczy staje się nudną i rozwlekłą. Najlepszymi są jednoaktowe lub dwuaktowe sztuczki, coś w rodzaju francuzkich przysłów i wodwilów, tylko z podwójną dozą dowcipu, byleby nie rażącego dwuznacznikami i innymi efekcikami na małych używanym teatrach. Czasem nawet parodia nada się bardzo dobrze, byleby skreślona piórem zręcznym i umięcym utrzymać miarę. To nam przypomina że w języku naszym istnieje wyborna parodia Cyda, napisana z niezmiernym

nym dowcipem przez pana B** przed dwudziestu przeszło latami, a grana z wielkiem powodzeniem na małym tu niegdyś teatrze. Nie wiem czy ta parodia była kiedy drukowana, ale to pewna że urządzające się teatru amatorskie dobrzeby zrobiły, gdyby się postarały o nią.

W Kijowie i Żytomierzu dawano z powodzeniem konkursową komedią Apollona Korzeniowskiego „Dla miłego grosza.“ Teatr lwowski i wileński podobno oznaczyły część autorską za komedye oryginalne, w ten sposób, jak to we wszystkich prawie teatrach europejskich ma miejsce, chociaż ze zniżoną znacznie stopą procentu. Chwalebna jest, ze strony obudwu tych teatrów, ta dbałość w zachęcaniu autorów do zasilania sceny; jest to najlepszy sposób działania na podniesienie jej, bo teatr, łącząc interes autoraz własnym, przez to samo czyni go odpowiedzialnym za napisaną sztukę, a publiczność, jak to z prawa należy, staje się ostatecznym sędzią i nagradza albo potępia, wedle wartości sztuki. Tém więcj przemawia to na zaletę teatrów lwowskiego i wileńskiego, że środki ich bardzo ograniczone, i często walczyć muszą z niepokonanymi trudnościami.

Ewa narodziła się nareszcie w przeszłym tygodniu. Ten ważny fakt, na któren oddawna czekaliśmy, miał miejsce w teatrze wielkim, a przygrywała mu muzyka pana Gabryela Rożnieckiego, dobrze pomyślana i przynosząca zaszczyt jego kompozytorskiemu talentowi. Wytrawny to i doświadczony muzyk; radziłyśmy widzieć go na obszerniejszym polu rozwijającego swoje zdolności. Co do samėje Ewy, możemy tu tylko powiedzieć, że za wiele kochała, chociaż jak na matkę rodzaju ludzkiego nie wydałoby się to nadto dziwnem. Jestto ujęta w dramat ta sama myśl, którą Aleksander Dumas syn w swojej Dame aux Camélias przedstawił, z tą tylko różnicą, że autor Ewy nie posiada ani w drobnej części talentu Dumasa. Wielka część publiczności oburzyła się na treść niezbyt smaczną, rozwiniętą na trzy akty, a której nie usprawiedliwia nawet wstąpienie Ewy do zakonu, bo w każdym razie wrażenie bachanalii z drugiego aktu najjaskrawszem pozostać musi z całej sztuki. Co nam po tych wszystkich pijanych nierządnicach, cygankach ulicznych i uwodzicielach bez serca? Nawet pan Żółkowski, który ze zwykłym sobie talentem oddał rolę Clarenda, bogacza weneckiego, nie potrafił zatrzeć przykrego uczucia, jakie ona wzbudzać musi w widzach, a niekonsenkwentne narysowanie tego charakteru w trzecim akcie, zdwoiło jeszcze trudności które artysta miał do zwalzenia. Pań Królikowskiemu dostał się najsympatyczniejszy w całej sztuce charakter Buffamalka malarza, przedstawił go tēz z prawdą, żywością i uczuciem. Gra panny Palińskiej (Ewa), czasem może na zbyt wysoki ton nastrojona, przy końcu jednak drugiego aktu pociągnęła za sobą wszystkich widzów. Tylko prawdziwy talent zdobyć się może na tyle siły i uczucia i takim energicznym wrażeniem oddziaływać na serca słuchaczy. Pomimo jednak tych zalet gry pojedynczych artystów, wątpimy ażeby ten dramat mógł się na długo utrzymać w repertoarze.

Jedno z pism tutejszych donosiło o znalezieniu w spróchniałym pniu drzewa, w ogrodzie Krasińskich, beczki pełnej groszy, z których każdy zawinięty był w oddzielny paperek. Dziwny ten pomysł zakrawa na jakąś mistyfikacyę. Nie pierwszy to raz jednak podobnego rodzaju wypadki mają miejsce w Warszawie. Pamiętamy, że raz na prima aprilis, znany tu dobrze bogaty oryginał, który zmarł przed kilkunastu latami, kazał zrobić kilka ruloników z ołowiu, wielkości dukatów, poobwijał je w papier, i po każdej stronie osadziwszy po jednym prawdziwym dukacie, tak że je widzieć było można, rozrzucił je po ulicach, a sam chodził i śledził przechodzących, ciesząc się z góry, że ten który znajdzie rulonik oszuka się diablo, po pomyśli że całą paczkę dukatów znalazł. Nam się zdaje, że tym biednym oszukany i tak nie była wielka krzywda.

„Gwiazdka“ p. Niewiarowskiego już się ukazała na świat. Artykuły pisane lekko i przystępnie, ruch społeczny, literatura, sztuki piękne, stanowiąc będą główne tło, na jakim ma się rozwijać działalność tego nowego dzieła, któremu szczerze życzymy powodzenia.

Gebethner robi drugie wydanie komedii p. Chęcińskiego „Szlachectwo duszy“, a wspominamy o tém, bo jak wiadomo drugie wydania do wielkich rzadkości u nas należą, i niemało to przemawia za wartością i wzięciem dzieła. Podobno p. Chęciński zaczął

już pisać nową komedią; jest to pocieszająca wiadomość dla sceny naszej, której pierwsze dzieło pana Chęcińskiego niemało przysporzyło powodzenia.

Obrady konkursowe trwają ciągle; komitet składa się z ośmiu sędziów, których nazwiska wymieniamy: pp. hr. Skarbek, ks. rektor Jakubowski, dyrektor teatrów Jasiński, hr. Przeździecki, Wójcicki, Kaszewski, Chęciński, Sobolewski. Do czterdziestu sztuk, jedna jeszcze przybyła i zepsuła tę okrągłą liczbę; szczęście tylko że sędziowie nie są bogami pogańskimi, więc się nie zrażą nieparzystą cyfrą. Dobrzeby uczynił komitet, gdyby wymieniając nazwiska autorów, którzy rzeczywiście zasłużyli na pochwałę, objawił zarazem publiczności nazwiska tych, którzy przesyłaniem sztuk mniej niż miernych, a nie posiadających żadnych, ani dramatycznych, ani literackich, ani nawet gramatycznych warunków, daremnie tylko sędziom przyczyniają mazołu. Nie znamy wprawdzie żadnej ze sztuk obecnie nadesłanych, ale wiemy, że z dwudziestu trzech komedij, na tenże sam konkurs w roku zeszłym dostarczonych, trzy czwarte było takich, których autorowie po pierwszy raz pióro brali do ręki. Kiedy więc obecnie liczba ta urosła w dwójnasób, bardzo jest możliwem, że ciż sami autorowie jeszcze raz próbowali szczęścia, a podług nas jest to nieuszanowaniem szczerých chęci nagrododawcy, poświęcenia się sędziów i świętości literatury ojczystej.

Może ciekawem będzie dla czytelników podanie kilku cyfr z wystawy krajowej obrazów; starczą one lepiej aniżeli wszystkie dowodzenia na przekonanie, z jakim to jedynie wysiłkiem i poświęceniem się ze strony malarzów naszych wystawa ta może się dotychczas utrzymywać. Dochody ze zwidzania wystawy w drugim półroczu r. z. były następujące: w lipcu złp. 550, w sierpniu złp. 445, we wrześniu złp. 352, w październiku złp. 350, w listopadzie złp. 620, w grudniu około złp. 500. To wszystko starczy zaledwie na utrzymanie lokalu i służby, a nawet bez dopłaty nie obywa się. Przez ten czas sprzedano 9 obrazów, z tych 2 Pillatego, 2 Szermentowskiego, a Suchodolskiego, Sypniewskiego, Balukiewicza, Rocholewskiego i Ruśkiewicza po jednym. Wypada więc jak raz po półtora obrazu co miesiąc, co nie jest bardzo świetnym rezultatem, bacząc zwłaszcza na liczbę malarzy dostarczających utwory swoje na wystawę. Ale na cóż się zdadzą wszystkie uzalenia. Publiczność przywykła do nich, ziewa nad niemi, a rzeczy ciągle dawniejszym postępują torem. Ba, kupców nie brak, ale trochę za tanio cenią utwory sztuki. Jakiś amator, widząc przed sklepem pana Hirszla wywieszoną akwarellę Leonarda Straszyńskiego, przedstawiającą kazań śledziowe, ofiarował za tę chromolitografię, bo tak ją nazwał, aż dwa dukaty. Kiedy zaś się dowiedział o rzeczywistej cenie obrazu, odszedł potrząsając głową i twierdząc że za te pieniądze litografiami i fotografiami całą ścianę zawiesićby można. Otóż podobno w słowach tego amatora leży cała tajemnica małego pokupu obrazów u nas.

Jeżeli u nas nie wesoło, to pewno i Kraków nie musi się cieszyć zbytnią błogością bytu, kiedy aż żelazne serce Zygmunta (dzwonu) pękło, spoglądając z góry na ten gród starożytny. Dzwon naprawiono wprędce, ale bogdaj czy jaki zręczny slusarz znajdzie tak prędkie lekarstwo na ciężkie czasy i biędę ogólną. Nawet na maskaradach pusto; na ostatniej jedynej maską charakterystyczną był kucharz. Może jakiś człowiek głębięj zastanawiający się nad obecnym położeniem naszym, chciał tym sposobem dać nam do zrozumienia, że jeżeli na wielu rzeczach nam braknie, to przynajmniej na brak apetytu skarżyć się nie możemy. Pogubiliśmy wiele tradycij po przodkach naszych, ale tę przynajmniej dochowaliśmy święcie.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

FOTOGRAFIA.

Pozwolimy sobie dziś przekroczyć przyjęte dotychczas rubryki kroniki sztuk pięknych, zamierzylismy bowiem pomówić o coraz to ważniejszym stanowisku, jakie względnie do sztuk plastycznych stopniowo zajmować poczyna fotografia. Przysługi i pomoce, które sztukom pięknym udziela, świeży ten jeszcze, a doskonałacy się ciągle wynalazek, upoważniają nas do kil-

ku uwag w artystycznym wyłącznie sprawozdaniu, chociaż fotografia nie ma i nie rości sobie prawa do jakiegokolwiek ze sztukami pięknymi zbratania.

W początkach wynalazek fotografii, zadziwiający szybkim postępowaniem i coraz większą doskonałością rezultatu, obiecywał przyszłość olbrzymią. Chemia i fizyka zdawały się chcieć wstępny bojem opanować jeśli nie całą, to przynajmniej część pewną sztuk pięknych. Już zmieszany portrecistom żalosne śpiewano *de profundis*; już widziano omdlałych z przerażenia sztycharzy, kruszących swe rylce o miedziane blachy; już nawet i pejzażystom groźny przepowiadał upadek.

Powoli jednakże nawałnica tych błędnych mniemań uspakajała się, gwałtownie wezbrane potoki grózb proroczych do właściwego sobie powracały koryta, a dziś, po ogólnem ochłonięciu z pierwszych wrażeń, z łatwością rozpoznać i przewidzieć możemy wielkie bez wątpienia, lecz o wiele skromniejsze przysługi, jakich od fotografii wymagać należy.

Nikt już, mamy nadzieję, nie łudzi się dziś, aby przyrząd mechaniczny, choćby tēz najlepszy, zastąpić potrafił wyobraźnię i uczucie artystyczne, w najprostszych nawet swych objawach. Niedosć wszakże na tém: przekonano się już dowodnie, że niewolniczą kopia natury, chociaż zdumiewa wykończeniem wszystkich szczegółów, nie może zadowolić, obudzić w duszy uczuć nieokręślonych a porywających. Czujemy wszędzie brak umiejętnej ręki, która z martwych nawet cząstek stwarza całość pełną harmonii, życia i piękna.

Niewolniczość jednakże naśladowania natury zdawałaby się na pozór niezbędną w portretach, i dlatego tēz najbardziej rozpowszechnionem zastosowaniem fotografii jest portretowanie.

Prostém byłoby szaleństwem, gdyby którykolwiek z artystów pomyślał nawet ubiegać się o niedościgłą dla ludzkiej ręki dokładność i doskonałą precyzję, jaką nam daje sama przyroda, działająca w machinie fotograficznej. Ale zbadajmy jaki to rodzaj dokładności, w czém leży ta ogromna precyzja fotografii?

Rysy są i muszą być niezaprzeczenie doskonałe, modelacya jest w najwyższym stopniu subtelna i prawdziwa. Czyż równie prawdziwe jest odtworzenie wyrazu i charakteru osoby portretowanej? Wiemy przecie że kto chce posiadać doskonale zdjęty z siebie fotograf, musi najzupełniej skamieniść na chwil kilka, tak dalece, że zaledwie dozwolone mu jest mrugnięcie powieką. Czyż może więc fotograf odtwarzać życie, jeśli oryginał zaprzecić się go musi koniecznie?

Nic dziwnego zatem, jeśli prawie zawsze wrażenie wielkiego podobieństwa rysów, ostudza jakaś sztywność i martwość w całej postawie. Lecz przypuśćmy nawet że niejedyn umiē zasiąść pod machiną, lub stanąć i spoglądać z całą swobodą, bez najmniejszego nastroju; toć i w tym razie fotograf powtórzyć może dokładnie chwilowy jedynie humor, nigdy zaś charakteru ogólnego osoby schwycić nie potrafi.

Najlepiē o tēz przekonywa nas stereoskop. Tu oczom naszym najdotykaliēj przedstawia się bryłowatość tak zupełna i wszechstronna, że już koniecznie domagamy się ruchu, krwi, życia. Ale niestety! martwą tylko widzimy tam postać, przerażającą nas podobieństwem i... skamieniałością!

Spojrzyjmy teraz na dzieła wielkich mistrzów sztuki: jakim to życiem, jaką prawdą tchną portrety Tytcyana, Rembrandta, Velasquez'a, Van-Dyck'a! Jakież tam jasno wyczytujemy dziś historię wieków ubiegłych, biografię niemal osób przedstawianych!

Pod tym najważniejszym właśnie względem, fotografia nie wytrzymuje najmniejszego porównania z malarstwem i rzeźbą, a choć osiągnie ona zapewne w przyszłości większą jeszcze doskonałość, co do stopniowania tonów i kolorów, nie dostąpi jednak nigdy rzeczywistego celu w portrecie: żywego odtworzenia charakteru i ducha, które jedynie schwycić może i powinna żywa artysty ręka.

Niektórzy malarze czasami posługują się fotografią przy malowaniu portretów; pojmujemy z łatwością że może ona być pomocną co do ubioru i otaczających przedmiotów, przynosi bowiem ulgę malarzowi, a bardziej jeszcze osobie portretowanej; co do głowy jednak pomoc ta musi być utrudnieniem tylko i niebezpiecznym dla artysty zabałamuceniem.

Dotychczas staraliśmy się wykazać ujemną stronę fotografii; w kilku słowach teraz wyrazimy wielkie i prawdziwe przysługi, rzeczywistą pomoc jaką jej

zawdzięczamy wszyscy, a szczególnie artyści i zwolennicy sztuk pięknych.

Ogromne muzea, znakomite zbiory prywatne, pomniki świadczące o potęgę i wyrażające ducha ubiegłych wieków, stały się dziś przystępnymi dla wszystkich, a rozpowszechnienie tyłu arcydzieł sztuki, nie tylko jest szacownym skarbem dla artystów, ale zarazem silnie oddziaływać musi na wykształcenie smaku, na wyrobienie trwalszych i zdrowszych pojęć o sztuce w massach narodu. Słowem fotografia wyrzuci może tu wpływ nieoceniony, o ile umiejętną kierowana będzie ręką, i jeśli zamiast niewolniczego i bezpośredniego naśladowania samej przyrody, pozostanie najwierniejszą propagatorką twórców ludzkiego ducha.

OLESKO.

Miasto Olesko położone było w dawnym województwie ruskim, w ziemi lwowskiej, dziś należy do cyrkułu złoczowskiego. Założył je w r. 1481 Piotr na Olesku Oleski, z żoną Anną z Sienina, na wzgórzu panującym nad okolicznymi błotami. Majątek oleski, czyli jak zwano podówczas księstwo, składał się z pięciu miast i pięćdziesięciu wsi, a z ręką Jadwigi córki Piotra, przeszedł do Walentego Tęczyńskiego wojewody krakowskiego. Znowu po kądzieli przeszedł w ręce Stanisława Żółkiewskiego, hetmana w. k. Takim samym sposobem z ręką Zofii Żółkiewskiej dostał się Janowi Daniłowiczowi, a z ręką Teofili Daniłowiczówny, Jakubowi Sobieskiemu, naówczas krajczemu koronnemu. Państwo Sobiescy mieszkali stale w zamku oleskim, i w nim urodził się Jan III. Najdokładniejsze świadectwo w tym względzie zapisane zostało na wielkim mszale, znajdującym się w kościele bazylijskim w Podhorcach, w następujących słowach:

„Jan III król polski, Europy słońce, księżycy otomańskiego zaćmienie, piorun wschodnich krajów, odebrał swój początek od jaśnie wielmożnej i starożytnej familii Żółkiewskich, wnuki kanclerza koronnego, a potem hetmana wielkiego. Urodził się w zamku Olesko w r. 1624, dnia wtórego czerwca, w wigilię przenaświętłej Trójcy, która to tajemnica przez całe życie w osobliwszej czci u niego była i szczególna w przygodach ucieczka i pomoc dziwna. Ten Jan tej jw. pary, jako był trzecim synem, tak w porządku królów Janów był trzecim królem. W czasie jego przyścia na świat, dziwna zrządzeniem niepojętej w swych cudach Opatrzności przygoda się zdarzyła. Skoro bowiem odebrano niemowlę, po obmyciu położono je na stole marmurowym, który w tej chwili, jak gdyby zrysowany piorunem, na dwoje przepęknął się. Rzecz dziwna przytomnych zasępiła, a wielebny ojciec Ziemiasko, znajdujący się przy tém milczeniu, rozerwał to temi słowy: „Znać że niemowlę to z poręki Wszchemocności chwałę odebrało, która w całym chrześcijaństwie walor mieć będzie. Świetna ta jednak chwała w czasie dalszym przepęknie się, i polskiemu narodowi szkodliwą się stanie.“

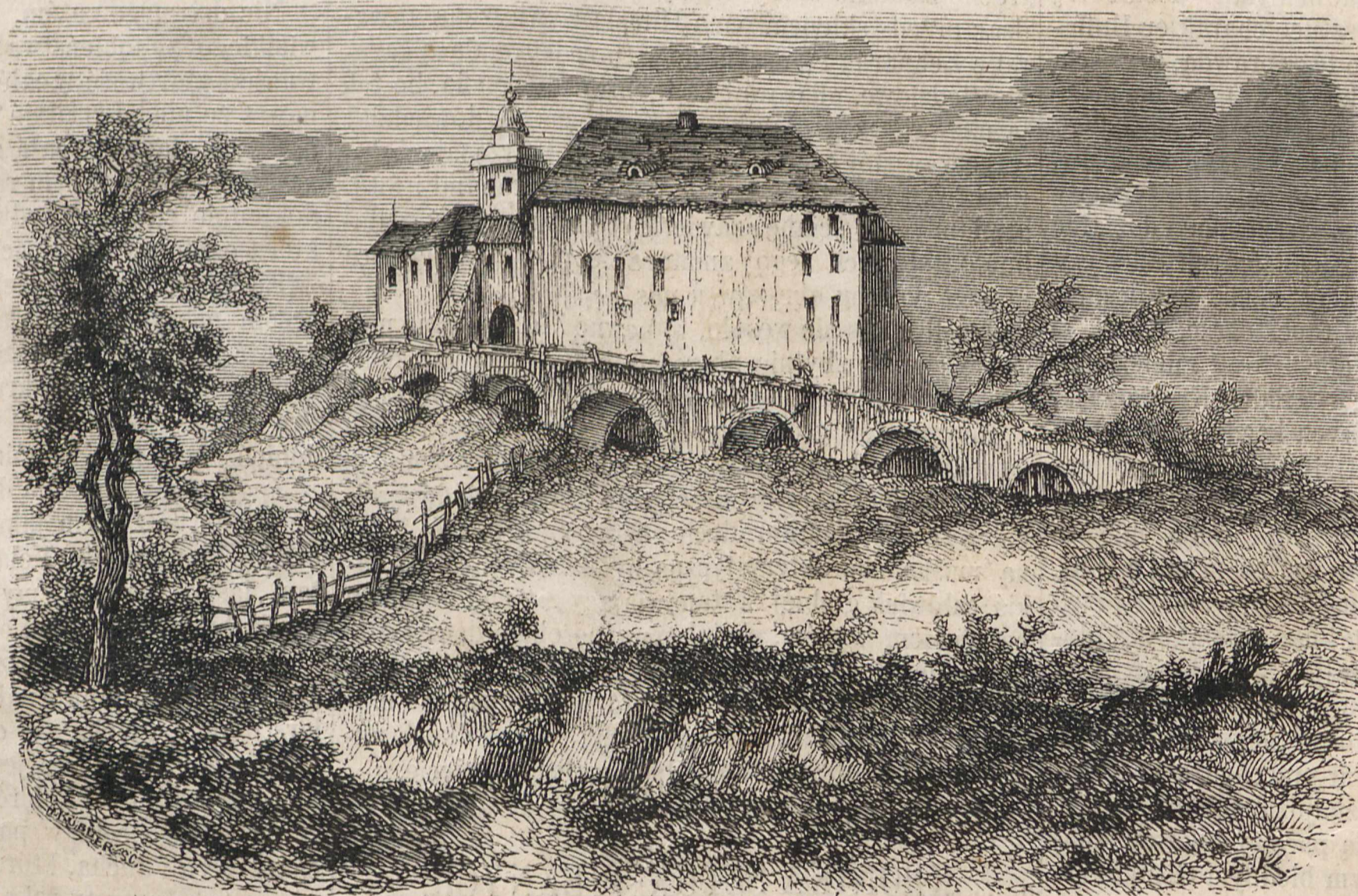
Zamek oleski położony jest na wysokiej, okrągłej górze, strzeżonej niegdyś przez stawy i okopy. Dwa chodniki, lipami wysadzone, prowadzą do niego, a przy wstępie na dziedzińcu znajduje się obszerny, płytami wyłożony taras, pod którym są stajnie. Sam zamek składa się z dwóch wystających skrzydeł; w środku zabudowania znajduje się mocno zbudowana wieża, przez którą prowadzi brama wewnątrz zamku. Kilka zaledwie pokojów (do których wchód przez schody kamienne i korytarz), a pomiędzy niemi i ten w którym się urodził Jan III, teraźniejszy właściciel obrócił na swoje mieszkanie. Jest to podługowaty czwo-

rokąt; naprzeciw wchodu znajduje się wielka nisza, gdzie było łóżko, teraz zaś wybity jest wchód do innych sal, o których piękności i wspaniałości świadczą pozostałe kosztowne płaskorzeźby, wyobrażające



Przekleństwo śpiewaka, rzeźba Leona Szuberta. (Rysował Elias w Krakowie, rytował G. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

Jana III i syna jego Jakuba. Drzwi okładane mozaiką prowadzą ztamtąd po kilku stopniach kamiennych do okrągłej, w lewym skrzydle zamku będącej sali.



OLESKO, MIEJSCE URODZENIA KRÓLA JANA III. (Rysował Kostrzewski, rytował Kübler w drzeworytni „Tygodnika“.)

Tutaj na czarnym marmurowym stole odbył się chrzest Jana III. Ta sala zdaje się iż niegdyś inne przewyższała zdobiami. Misternie kształcone wyobrażenia broni i herbów, sute i dotąd ręką czasu nie zatarte wyłaczania, są świadkami tego, szkoda tylko że ta strona najwięcej spustoszona, gdyż nawet okna są pozamurowywane. Celuje także pokój niebieski, ozdobny rozlicznymi gatunkami ptaków i wyobrażeniami

mitologicznymi. W sali jest nad kominkiem posąg Stanisława Żółkiewskiego.

Miasto Olesko było kiedyś daleko ludniejsze i rozleglejsze; trzymało podobno w swych rękach handel, który mu później wydarły sąsiednie Brody. Kilka kościołów zdołało to miasto. Kościół farny, w stylu gotyckim, z dwiema okrągłymi kaplicami, odznacza się kształtną budową. Nad kaplicą po prawej stronie jest wysoka, okrągła wieża, dość obszerna, mająca strzelnice do obrony. Przed wnijsciem do kościoła wisi kilka mammutowych kości, znalezionych w napływowej ziemi tej okolicy. Środek kościoła zdoła kilka pięknych ołtarzy i nagrobek z marmuru czerwonego, postawiony w r. 1610 Janowi Koniecpolskiemu. Kościół ten zbudował Piotr Oleski w r. 1431, ale rozszerzył i ozdobił go Jan Daniłowicz. Okolski pisze, że po napadzie Tatarów na Podkamień, pani Kamieniecka, córka Jana Siemińskiego, kościół pod wezwaniem N. Panny w Olesku, jako w miejscu obronnym, zbudowała. Oprócz kościoła farnego znajduje się w Olesku klasztor kapucynów, założony w r. 1743 przez Seweryna Rzewuskiego, wojewodę wołyńskiego. E.A. Kuropatnicki pisze, że jest to „najwspanialszy w całym świecie, ile kapucyni klasztorów mieć mogą, opatrzony w bibliotekę i wszystkie potrzeby przez hojnego fundatora.“ Jest jeszcze kościółek na cmentarzu i trzy cerkwie drewniane. Dawniej były klasztory bazylianów i bazylianek.

Miasto składa się teraz prawie z samych drewnianych domków i liczy około 3000 ludności. Ze było obszerniejsze, oprócz innych dowodów przekonywa taryffa pogłównego z r. 1765, w której zamieszczono że Olesko płaci samego pogłównego żydowskiego złp. 1542. Mieszkańcy prowadzili dawniej obszerny handel skórą, miodem i woskiem; dziś Brody zabrały im wszystko. Kilkunastu tkaczy dostarczają Brodom doskonałych krajowych wyrobów. Tak więc i zamek i miasteczko chyłają się ku upadkowi, czas i okoliczności wywierają na nie wpływ swój zgubny, a wiadomo że to dwie olbrzymie potęgi. Wokoło Oleska wszędzie napotkać można ślady Sobieskich: Janów, Jaworów, Kulików, Złoczów, Żółkiew, wszystko to dawne ich posiadłości, wszędzie oni przebywali i zostawili po sobie pamiątki. Starajmyż się przynajmniej o przekazanie ich przyszłości.

Famulus Żółkowskiego.

W jednej z pierwszych litografii warszawskich, rysownik Sliwicki zaczął wydawać p. n. „Karykatury warszawskie“ znajome całemu miastu postaci. Z pomiędzy tych podajemy tu wierny przerys *Famulusa*. Był to Ludwik Nowicki, syn wyrobniaka warszawskiego. Początkowo utrzymywał się ze służby, następnie zostawał przy teatrze narodowym, jako *kompar* czyli *figurant*. W takim charakterze 1800 r. występował pierwszy raz w komedyi L. A. Dmuszewskiego p. n. „Cnota prędzej czy później będzie nagrodzoną.“ Tak mu się ten tytuł podobał, że często go powtarzając, nazywany był *Cnota Nowicki*. Nazwę tę utracił, gdy go sławny artysta i redaktor *Momusa*, Aloizy Żółkowski, przezwiał *famulusem* i używał do rozrzucania po mieście różnych pisemek i gazet pisanych. Nowicki z uciechą i wdzięcznością przyjął od swego pana nowe nazwisko: ale gdy nań ulicznicy warszawscy zaczęli wołać: *famulus Nowicki! famulus!* gniewał się wielce i nieraz staczał z niemi bitwy po ulicach miasta.

Po sześciu latach służby przy teatrze, w r. 1807 puścił się na włóczęgę. Niby pierwszy strojnił miastą, grubo chustkę na szyi zawiązywał, z wielką kokardą i wysokimi z białego papieru kołnierzykami. Kapelusze częściej stosowany jak okrągły, mocno

zszarżany i dziurawy, ozdobny nieraz w piórka, frendzle i kutasy szychowe, surduty lub fraklatany, w dziurawych butach, ledwie nie boso.

Wesoły, z uśmiechem na twarzy, przebiegał ulice Warszawy, wstępował do kawiarni, na billardy i do traktyerni: uniżenie się gościom kłaniał, a nosząc w kieszeniach i pod pachą paki z gazetami, facecjami i różnemi utworami Żółkowskiego, jak później z *pot-purrym* i *Momusem* drukowanym, które w darze od tego artysty i pisarza dla siebie dostawał, niosąc zarazem afisze na przedstawienia teatralne lub inne widowiska, mające być dane wieczorem, ofiarowywał obecnym po egzemplarzu, otrzymany zaś dar, czasem dosyć hojny, niedługo przechulał. Nie mając stałego mieszkania, włóczył się z wieczora po szynkach i tam zwykle nocowywał.

Korzystał i z wielkich zgromadzeń publiczności warszawskiej: raz wybrał się w czasie *Zielonych-Swiątek* na Bielany, przystrojony osobliwie. Na głowę włożył hełm uklepany ze srebrnego papieru, takiż przywdział pancierz; na lewą rękę zawdziął tarczę, z napisem układu Żółkowskiego, w prawej w miejsce kija miał pałasz drewniany. Zebrał w lesie bieleńskim hojny datek i wrócił do miasta bryczką, dobrze podchmielony.

Rysownik Śliwicki przedstawił go w całej postaci, w zwyczajnym ubiorze, z odkrytą głową. W rękę trzyma „Momusa“, „Gazetę Warszawską“, „Dodatek“, „Kuryera Warszawskiego“ i afisz teatralny, na którym wyczytać można owocną krotochwile *Rochus Pumpernikiel*, w której główną rolę odegrał Żółkowski. Z kieszeni wygląda „Astrea“ (pod redakcją Franciszka Grzymały), „Wanda Tygodnik Polski“ (pod redakcją Ksawerego Godebskiego), „Pszczółka“ (pismo w Krakowie wydawane pod redakcją Konstantego Majeranowskiego), w ostatku plik papierów z napisem: *Proces litograficzny, kamień contra kamień*.

Nowicki, przywiązany szczególnie do Żółkowskiego, uwielbiał tego artystę, który go też ciągle wspierał. Śmierć tego wielkiego komika tak silnie na biednym famulusie uczyniła wrażenie, że stracił zupełnie dawną wesołość, i uśmiech opuścił jego oblicze. Na pogrzebie Żółkowskiego płakał rzewnie: od chwili gdy odprowadził na cmentarz zwłoki *swego pana*, smutny i osowiały, rzadko się kiedy pokazywał na ulicach miasta. I wkrótce zniknęła ta postać oryginalna Warszawy, bo w następnym roku umarł w szpitalu siostr miłosierdzia św. Ducha panien marcinkanek, w listopadzie 1823 roku.

KORRESPONDENCJA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

Rzym 24 grudnia 1859 r.

Rzym miéwa swój zimowy nieurodzaj, cięższy stokrót od nieurodzaju innych trzech pór roku: jestto brak *forestierów*, tych peryodycznych messyaszów Rzymianina. Żniwo czy polowanie chybione niewątpliwie tego roku. Wędrownie ptastwo, tęskno przez krajowych myśliwych wyglądane, jak nie przylatuje, tak nie przylatuje. Widać tylko precz po nad siném pasmem Apeninów i Sabińskich gór, ponad Horacyuszowskim wierzchołkiem Soraktu, przeciągające sznury bocia-

nów i żorawi, toż innych z północy lecących ptaków, których ruchome wzory malowniczo się rozwijają, łamią i przeobrażają na lazurowej emalii niebos, po szerokim powietrzu gościńcu...

Ileż to ich z Polski leciało lub leci! ile między nami oddychało naszym powietrzem, unosiło się nad naszymi łąkami, widziało kilka poranków temu jak nasze drzewa, gdyby zakonnice przed białymi zimowami obłóczynami, składały ze skroni wianek zieleni, tęczo-wo przez jesień ufarbowany, wianek który na czole południowych gajów nigdy nie zmienia barwy i nigdy nie bywa ślubowan szronom! Nielitośna to zima wygnała je właśnie z krainy, którejby nie opuściły inaczej dla pozłacanego nawet słońcem i pomarańczą południa; bo tam jeszcze ciżba ludzkich mieszkań nie



FAMULUS ŻÓŁKOWSKIEGO.

(Rysował Kostrzewski, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

wdarła się w ciszę lasów, nie wtargnęła w dziedzinę gniazd ptasich, a dym rękodzielni nie odebrał im więcej z pola woni mięty i macierzanki. Spieszą tedy za oddalającym się słońcem, jak gdyby uwiązane były na złotych niciach jego promieni. Jedne z nich, przywabione wdziękami krainy, w której mieszkała niegdys czarodziejka Cyrce, przyciągnięte bezdennem jezior jój zwierciadłem i cienistą doliną głębokością, padają w jój uperfumowane ramiona; inne znowu, co jak Ulissesa towarzysze oprzeć się potrafiły ziemi tej powabom, wędrują przez niebieskie morze tam, gdzie się ugania białonogi Farysa latawiec, gdzie palma zielonowłosa strzepi się na złotém dnie piasków i gdzie rozgorzałe słońce wykwiata codziennie czerwoną różą z bukietu oazy...

Ale nie tych przewiewnych gości czeka ów *vetturino*, którego ciężki rydwan, sekularyzowany z kardynalskiej karęty, przyrósł do rzymskiego bruku; nie na tych czatuje ów lokaj *a spasso* (człowiek bez miejsca nazywa się w Rzymie człowiekiem spacerującym), ów *cicerone*, któremu brak słuchaczy zakuł natrętny język w gardle, jak bajecznego smoka w jaskini, ów garson stojący w białej krawacie, z serwetą na ręku, u progu pustego hotelu, owe nareszcie zateśknione w oknie, usłużne *padrone di casa*, czyli czarnobrewne gosposie, wynajmujące umeblowane mieszkania cudzoziemcom na *via Babuino*, ciekawy gatunek, z opisu nawet u nas nie znany, gdyż zimujący tutaj panice stałe o nim zamilczają, pisząc do swych narzeczonych... Ptastwo którego cała ludność rzymska wypatruje, jest

to ten przeszłoroczny lord, z włossem tój samój barwy co jego złoto, z kołnierzem od koszuli stromym i śpiczastym, jak skała gibraltarska, jestto ten przeszłoroczny felietonista paryzki, hu- cznie podróżujący na conto redakcyi „Monitora“, w którym ogłaszał swą *Italie contemporaine*, pisarz lekki jak arkusz dziennika, a którego w estetycznej stronie Rzymu to tylko uderzyło, iż sosny włoskie podobne są do parasolów rozpiętych, a cyprysy do parasolów złożonych; jestto ten nareszcie przeszłoroczny, otyły magnat ukraiński, przybyły dla zdrowia żony suchotnicy, który się śmiertelnie nudzi wśród kościołowi i ruin, a z nudów każe oświecać koloseum bengalskimi ogniami i powtarzać sobie, dla historycznego efektu, przez hojnie udarowanych chłopaków: *Morituri te salutant, Caesar!*

Za tymi to messyaszami, zwierzną i cezarami nowożytnój Romy, zwykł ciągnąć tłum uliczników wołających o bajoka, narodowych katarynek grających jednocześnie arye z kilku odmiennych oper, *ciceronów* nizko się kłaniających i razem się pytających:

— Może *Illustrissimo* chce widzieć łaźnie, w których się kąpał najjaśniejszy Karakalla?

— Może *Eccellenza* chce wstąpić mimochodem do sekretnego gabinetu Wenery kapitolinśkiej?

— Może *Altezza* nie była jeszcze w gaiku, gdzie Numa miewał prawodawcze schadzki z nimfą Egerią?

Nadewszystko zaś bieży za nim éma tych jedynych w swoim rodzaju żebraków, których typ znajduje się już tylko w archeologii rzymskiej. Ze wszystkich swoich współziomków oni to najchytřej, najnatrętniej, najniez-mordowanej polują na cudzoziemca. Liczna ta kasta, wyrosła jak grzyb na pniu chrześcijańskiej dobroczynności, stanowi potęgę we wiecznym mieście, *statum in statu*. Jest ona tém w porządku człowieczym, czém są zwaliska w porządku architektonicznym, włóczy za sobą łachmany jak bluszcz i powoje, rozpięra się monumentalnie w zabytkach swój odzieży, nosi na czole dumę rzymskiego majestatu, jak napis na frontonie ruiny, a na grzbiecie przerysowanym z tryumfalnego łuku, pleśń którą uniosła ocierając się o czelusć katakumby, gdzie miewa legowisko. Nigdy Callot, Rembrandt lub Velasquez nie wymarzyli nic równie obdartego, zgrzybiałego i malowniczego. Każdy z tych nędzarzy zdolnym jest ogołocić cudzoziemca, a unieśmiertelnić malarza. Gdyby nie febra chciwości, co trzęsie ich szczęką, gdyby nie kapuańskie rokosze z nagromadzonych kapitałów, co ich zasklepiają w obszarpaném samolubstwie, możnaby dopra-

— Może *Altezza* nie była jeszcze w gaiku, gdzie Numa miewał prawodawcze schadzki z nimfą Egerią?

wdy pomyśleć, iż się urodzili i wyszarpali jedynie dla uszczęśliwienia artystów, że ich włóczęga i żebranina ma sztuki piękne na celu!...

Zebracy ci, na wzór dawnych konsulów i triumwirów, dzielą państwo rzymskie na prowincje i rozbięrają takowe między siebie. Panteon z przyległościami należy do jednego, plac hiszpański do drugiego, *Via Sacra* z pałacem cesarów i z łukiem Tytusa do trzeciego i t. d. Żaden zaś nie śmie wkroczyć w granice swego sąsiada, inaczej wnet wynika wojna domowa. Duński powieściopisarz Andersen, w ślicznym swoim romansie pod włoskim tytułem: „*l'Improvvisatore*“ dramatycznie opisuje scenę, w której *Zi' Peppe* (wuj Józef), sławny, żyjący dotąd bez nogi żebrak, dusina wschodach *Trinità de Monti* ślepego, co śmiał niedaleko od niego prosić jałmużny. Teraz tensam *Zi' Peppe*, wydusiwszy wszystkich swoich współzawodników, panuje samowładnie na okazałych wschodach hiszpańskich. Poranki swe zwykł spędzać przed kościołem św. Augustyna; lecz skoro południowe słońce ciepłym i zdrowszym czyni pobyt na *Monte-Pincio* i ściga tam tłum spacerujących, *Zi' Peppe* każe się wsadzać na osła, który jest jego nieodłącznym towarzyszem, i jadąc wolnym krokiem, zaczepia każdego po drodze przywitaniem, dowcipem lub poufałym słówkiem. Jest on bowiem bardzo dowcipnym, liźnął nawet łaciny, przez wzgląd dla duchowieństwa, a co się tyczy poufaleń, to w naszym czasie, w którym nie talent i nie świetne imię, lecz grosz tylko zjednywa obywatelstwo wszechświata, *Zi' Peppe* ma niezaprzeczone prawo do republikańskiej z każdym śmiertelnikiem równości: jest on bowiem kapitalistą, a córka jego, wychodząc za męża, otrzymała 50,000 złp. posagu. Wspomniałem o tym żebraku, bowiem acz mniej obdarty, może on posłużyć za wyborczy wzór swój kasty i należy do osobliwości rzymskich, tak jak *Pasquino*, będący jego marmurowym pendentem co do kalectwa i dowcipkowania. Zajmuje nadto znakomite miejsce w sztukach pięknych, które go kilkakrotnie odwzorowały, niemniej jak w literaturze europejskiej, która, jakem rzekł, poświęciła mu dwa tomy misterniej powieści. Gdy go zapytałem czy znany mu jest utwór, przełożony na kilka języków, gdzie jako bohater występuje (ale gdzie także jego bogactwa są przed światem wykryte) *Zi' Peppe* ruszył ramionami, uśmiechnął się pół złośliwie, pół litośnie, i zażywając tabakę odpowiedział mi z przyciskiem:

— Nigdy ulotna literatura i jej pisarze nie byli na wysokości mojej pogardy....

Zi' Peppe postawił się względem ulotnej literatury, jak Diogenes względem Aleksandra: nie raczy nią nawet gardzić, ale chce tylko by mu nie zastępowała słońca. Widać iż jest klasykiem.

Ponieważ potrafiłem o klasycyzm, muszę przytoczyć anegdotkę, która wielce zabawiła publiczność tu tejszą. Dawano przed tygodniem w teatrze *Apollo* wielki balet „*Cleopatra*“, w którym występowały najznacześniejsze osoby z wieku Augusta. Dla nowożytnych Rzymian balet jest tém, czém były cyrkowe widowiska dla ich klasycznych pradziadów. Owacy na cześć ulubionych baletniczek równają się w nich zapałem i hałasem politycznym demonstracyom; każdy zręczny podskok tancerki dosięga wysokości politycznego wypadku i stawi ją na szczytach uwielbienia i choreograficznego bałwochwalstwa. Kiedy zaś uśmiechniona wietrznica spada z teatralnych obłoków, w które strzeliła jak fontanna Merkuryuszową swych pięć lotnością, przepada ona w stosie wianków i różnianek, jak przepiórka w zbożu, i może dosłownie odpocząć i miękko się przespać na wawrzynach ciskanych jej z parteru, z hojnością i uniesieniem zdolnym obudzić zazdrość wszystkich tryumfatorów i kobiet. Niekiedy bukietowe bombardowanie grozi rozbięciem wstępnym mieszkanca powietrza, kobiecie owadowi o gazowych skrzydłach; mogłaby zniknąć pod lawiną białych kamelii, pogrzebaną zostać pod zburzonym na jej cześć państwem Flory, jak pod gruzami Kartaginy lub Jerozolimy: tylko że tutaj Scypionowie i Tytusowie są mniej nieprzyjaźni, lubo zarówno żądni zwycięstwa.... Ale wróćmy do baletu.

Owóż tedy Rzymianie tłumnie spieszyli co wieczór naprzeciw występującej na widowni Kleopatrze, a spieszyli z jednakowym zapałem jak pod Actium, z tą tylko różnicą, iż zamiast gotować pęta na nadobną egipską królową, gotowi byli oddać się jej w dobrowolną niewolę. Szczęśliwszym wszakże od nich,

tak dziś jak przed ośmnastą wiekami, był Marek-Antoniusz, spokojniejszy nawet od śmierci pogromcy swego Oktawiana i od upadku rzymskiego państwa, o które zresztą mało się troszczył, odkąd afrykańskie słońce podwoiło mu się w oczach ubóstwianej nieprzyjaciółki swjej ojczyzny. Triumwir nie tał się wcale ze swoim szczęściem, owszem z naganną dla szlachcica niedyskretnością afiszował je..... na afiszach, gdzie czytano:

MAREK ANTONI, triumwir rzymski, kochanek.....
a niżej:

KLEOPATRY, egipskiej królowej.

To wyznanie *coram populo* przywilejów i tajemnic jakie królewski Ptolemeuszów pałac otaczał dotychczas dyskretnym cieniem wschodnich makat i tyrskiej purpury, oburzyło niewymownie policją, która wbrew Plutarchowi, Tacytowi i Suetoniuszowi postanowiła po dziewiętnastu wiekach położyć nareszcie koniec gorszącej zażyłości swego obywatela z nadobną królową. Nazajutrz tedy czytano na skarconem za gadatliwość obwieszczeniu następujący pleonazm:

MAREK ANTONI, triumwir rzymski, mąż.....
KLEOPATRY, królowej egipskiej, jego żony.

Na drugi dzień minister policji, kardynałowie, prałaci, posłowie zagranicznych dworów, książęta rzymscy, toż inne znakomite osoby poodbierały przez pocztę następujący bilet, wysztychowany złotemi głoskami na przesłicznym welinowym papierze:

KAJUS MAREK ANTONIUSZ,
TRIUMWIR NAJJAŚNIEJSZEJ RZPLTÉJ RZYMSKIEJ,
MA ZASZCZYT OZNAJMIĆ
ZAŚLUBINY SVOJE
Z JÉJ KRÓLEWSKĄ MOŚCIĄ KLEOPATRĄ,
KRÓLOWĄ EGIPSKĄ.
NASTĄPIONE DNIA XVIII LISTOPADA MDCCCLIX.

Inna, równie prawdziwa i świeża anegdotka:

Od czasu jakiegoś wieczorne napady i grabieże niepokoją w szczególny sposób wieczne miasto. Rzymianie wracają powoli do obyczajów Romulusowych towarzyszy, w onej błogiej epoce, kiedy wprowadzie zegarków nie noszono, lecz za to indywidualne przywłaszczenia, co dzisiaj nie istnieje w postępowym świecie, pozwolonymi były. Niepodobna prawie teraz przechodzić o późnej godzinie przez mniej ludne place i ulice, by cię zaraz nie napadnięto i ofiarując nóż lub pistolet, nie proszono jaknajgrzeczniej i najciszej o zegarek lub sakiewkę. Argument, ma się rozumieć, tak ci trafia do piersi, jeśli nie do przekonania, iż uczysz się w oka mgnieniu hojności, do jakiej ży ubożego lub potrzeba rodaka nie zdołały, jeśliś bardzo oszczędny, skłonić cię przez czas długi.

Hrabia N***, niecierpiany przez lud, oskarżający go o ciągle zubożanie rzeczy publicznej, wraca pieszo z jakiegoś wieczora do pałacu swego, położonego za kwirynalskim pagórką. W pobliżu kościoła *San Domenico e Sisto* zaczepionym jest przez uprzejmych nadzwyczaj ichmościów, którym, jakkolwiek sam uzbrojony, lecz woląc zapewne rozprawić się dyplomatycznie niż po wojskowemu, oddaje to, czego by cywilna jego odwaga odmówiła była niewątpliwie tymże samym nudziarzom rano, u siebie i z liczną libryą w przedpokoju.

Nazajutrz, w chwili właśnie gdy każe spisywać sążnisty protokół całego wypadku, by go przesłać ministrowi policji, hrabia odbiera starannie opieczetowaną paczkę. Za otwarciem takowej znajduje utracony zegarek i sakiewkę, a przy nich następujący liścik:

„Panie hrabio, stałeś się pan wczoraj ofiarą pomyłki, za którą najpokorniejsze przeprosiny i niezwłoczne zwrócenie dołączonej tu własności pozostaną zawsze słabym zadośćuczynieniem. Wierzaj jednak panie hrabio, że gdyby cię od razu poznano, nigdyby ten opłakany wypadek nie nastąpił, ile że przekonani jesteśmy, iż nic nie masz tak nieszlachetnego, jak szkodzić sobie wzajemnie między kolegami“.

Z artystycznych, bliżej nas dotyczących wiadomości niemało was zapewne obejdzie ta, iż najznakomitszy z polskich rzeźbiarzy w Rzymie zaczyna kolosalny posąg Mickiewicza, i że posłano w tym celu do Paryża po maskę ulepioną na rysach wielkiego poety po jego śmierci. Rzym, niegdyś stolica sztuk pięknych i od Petrarki do Sarbiewskiego rozdawca koron wieńczących, co byli ostatnimi na kapitole tryumfatorami, ujrzy po raz pierwszy w swoich murach posąg męża, który przerósł ograniczoną skalę pojedynczej narodowości i języka, który należy dziś do świata całego, jak

Homer, Tasso i Szekspir, a którego boski Rafael nie wahałby się umieścić w tej wiekopomnej watykańskiej fresce, gdzie wyobraził natchnieńców ze wszystkich krajów i wieków, zgromadzonych walnym sejmem wkoło greckiego Apollina. Talent artysty jest nam dostateczną rękomią, iż chlubnie się wywiąże z tego trudnego i szczytnego zadania.



Panu Edwardowi T. w Warszawie. Uwagi Pańskie, dotyczące wydawnictw księgarskich, uważamy za zupełnie uzasadnione, lecz drukować ich w „Tygodniku“ nie możemy. Byłby to raczej przedmiot do osobnego artykułu gazeciarskiego.

Panu N. N. na Podolu. Nadesłanych zagadek, dla zbyt nię ich rozciągłości, drukować nie możemy.

Ks. J. W. w Świnicach. O rysunek i opis w liście Pańskim wzmiankowany najusilniej prosimy. Z zadania konikowego zrobimy może użytek w czasie późniejszym.

Panu L. w Pińczowie. Za nadesłane szeląki uprzejmie dziękujemy; nadmieniamy tylko że nie są one piastowskie, lecz jagiellońskie.

ODEZWA DYREKTORA

INSTYTUTU MUZYCZNEGO WARSZAWSKIEGO.

Do zacnych Rodaczek.

W odezwie mojej z dnia 14 grudnia przemawiałem do ogółu obywateli kraju naszego, objaśniając cel, dążność i znaczenie nowopowstającej instytucji.

Nie wątpię, czcigodne Panie, żeście czytały moje słowa gorliwie, żeście mnie zrozumiały i pojęły, bo każde przedsięwzięcie wzniesłe, szlachetne, obchodzące dobro kraju, znajduje odgłos w waszém sercu.

Lecz czułem potrzebę odwołać się osobną odezwą do Was, zacne Rodaczki! bo wiem, ile Wasza opieka, Wasze współdziałanie, Wasze pośrednictwo będzie *przeważnym, stanowczym* do osiągnięcia tak pożądanego celu.

Do was więc dziś przemawiam w sprawie Instytutu Muzycznego, który ma być owocem, przedstawicielem miłości, solidarności i poświęcenia obywateli dla pożytku i dobra krajowego.

Instytut Muzyczny, według ustawy Najwyżej zatwierdzonej, ma być wzniesionym po większej części z dobrowolnych ofiar współziomków. Ma więc być *Instytucją obywatelską, krajową.*

To wymaga czynnego działania, troskliwej opieki i niczém nie zachwianej wytrwałości.

Któż lepij, jak Wy, czcigodne Panie, potrafi tym warunkom zadosyć uczynić, Wy, które wspieracie wszystko co jest dobrém, co krajowi użytek przynosi?

Was najwięcej obchodzi muzyka kościelna, muzyka krajowa. Jako chrześciance i matki, czujecie dobrze, ile ona do chwały Boga i do podniesienia wyższych uczuć w młodzieży naszej może się przyczynić.

Zaniedbanie kościelnej muzyki i własnej naszej, wszędzie w kraju czuć się daje, a przyczyną tego brak wykształconych nauczycieli i organistów. Instytut muzyczny zaradzi temu.

Dlatego też, zacne Rodaczki! przyłóżcie się do dzieła; bądźcie opiekunkami, piastunkami powstającej instytucji. Zachęcajcie każdego do ofiar, według jego możliwości, urządzajcie na ten cel, w zamieszkałych przez Was stronach, wieczory, koncerty, zabawy, bo im więcej będzie środków użytych ku temu, tém więcej dobrych skutków, a tém samém więcej młodzieży w mającym się założyć instytucie będzie korzystać z dobrodziejstw, z Waszej gorliwości i pieczołowitości wpływających.

Niech wieniec, spleciony z kwiatów cnót i poświęcenia Waszego, wznosi się na zawsze nad tą instytucją, jako błogosławieństwo matki nad swém dziećciem!

Ale pamiętajcie, że czas zakresłony do zebrania potrzebnych funduszy na założenie instytutu jest bar-

dzo krótki (*). Trzeba z pośpiechem i największą energią rozwinąć działania.

Działajcież więc same i wezwijcie do działania Waszych mężów, ojców, dzieci i przyjaciół.

Mam silną *wiarę*, że za Waszym wpływem i staraniem, instytut muzyczny wejdzie w życie, i że stanie na wysokim stopniu znaczenia, nietylko u nas, lecz i za granicą; że rozbudzi nutę krajową, podniesie chwałę Boga i będzie nowym dowodem, że w każdym znacznym i użytecznym przedsięwzięciu dla kraju, można z pewnością odwołać się do pomocy i serc *Polek*.

Warszawa, w dzień Bożego Narodzenia 1859 r.

Apollinary Kątski.

KWESTYA PODRZĘDNA,

PRZY KOMINKOWYM OGNIU ROZBIERANA.

(Opowiadanie *Gabryeli*).

I był to znowu kominek, w dużym pokoju, z samym ogniem, z magnetycznym pociąganiem; ale nie taki jak tamten kominek. I byli to znowu ludzie serdeczni, jak pocziwi, rozumni; ale nie tacy jak tamci ludzie. I były twarze niektóre te same; ale nie takie same jak wówczas bywały. I było wszystko podobne; ale wszystko, wszystko inne: mieszkanie, znajomi, ich osobiste usposobienia, szczególnie inna data chronologiczna na wiekowym zegarze, data o lat dziesiątek późniejsza!... Ach mój Boże!... westchnęłam, cóż to znaczy? żal za przeszłością? Ja myślę że zwyczaj tylko, nałóg mimowolny, a jeśli trochę smutku się wmieściło, to chyba smutek pokutny, nie tęskniący z rozrzewnieniem. Czyż to życie dość piękne, dość święte, żeby na jakieś moralne przedłużenie żalem je zatrzymywać, odtwarzać i powtarzać? O! nie, dni życia, to ołowiane paciorki krwawą nitką przewleczzonego różańca; im więcej się ich przesunie, im więcej zesunie raczej, tym lżej ręce ociężałój, tym bliżej końca przecież, ha! i nowego, lepszego początku. Od efemerydalnej młodości, od kilku grobów moich, od każdego wczoraj mojego, wolę każde jutro, na które zawsze bez znużenia, uparcie, niecierpliwie, z wiarą w sercu czekam; od wspomnień najmniej gorzkich wolę tę moją ostatnią, najświetniejszą, jedyną nadzieję; od wszystkiego co już było, wolę cię chociaż tego co kiedyś być musi. Nie, nie, ja nie żałuję, nie tęsknię, nie rozrzewniam się bynajmniej, o bracia współcześni! o siostry rówiecnice moje! Trzeźwem okiem patrzę na to, co się przecierpiało, nieprzekupnym sumieniem sądzę to, czego się nie spełniło, surową wzdargę ciskam temu, co się zepsuło i upadło. Wiem, i wy także wiecie, żeśmy żadnej gwiazdeczki z nieba nie ściągnęli na ziemię; biędnej planety naszej „nowemi nie pchnęliśmy tory“, nikt z nas nie zdobył sobie ani szczęścia, ani sławy, ani prawdy nawet... bo prawda, to nie samo oderwane pojęcie, to nie przyzwolenie łaskawe na jakieś zdania, według prawideł syntaksy i logiki ułożone, prawda, to duch z ciałem, ideał z rzeczywistością, to wzrost i krzepkość od siejby do plonu. Kto z nas tśmieli się choć atomem tej prawdy pochwalić? Uzbierałiśmy cierni i głogu, skorup i kamieni, mamy ręce podrapane, odwagę zachwianą, siły wyczerpnięte, i namże to się godzi przeszłości żałować? Pokażcie mi zdobycze wasze, pokażcie łupy złociste, dyamenty, perły, makaty, albo wieże zamków obronnych, albo pomniki dzieł nieśmiertelnych, albo spiżowe wielkich ludzi posągi, albo jakich ślepców wędrownych, co epos naszej generacji po siolach śpiewają, albo chociaż pokażcie jedną bielutką, niezblóconą duszyczkę-gółką, cichą bez nikczemności, spokojną bez głupoty, szczęśliwą bez cudzej krzywdy? Pokażcie, to wam przyznam, że można przeszłości żałować. Spłaczę się nad nią płaczem nieutulonym, w liryzm uderzę trzynasto-zgłoskowym wierszem, ale wy biędni cóż mi pokażecie? Kto się zuchwale rozeprze na wygodnym fotelu i powie: „Mnie dobrze teraz“, to ja mu powiem: „Kłamiesz egoisto! nie dobrze ci z nabytkiem świata całego, boś swoją duszę utracił.“ Kto mi się w idylizmie domowych uciech przedstawi, to ja mu serce do najtajniejszych uderzeń zbadam, i ci-

(*) Termin ustawą zakreślony, do zebrania funduszu na rzecz instytutu muzycznego warszawskiego, jest sześćcio-miesięczny, i kończy się z dniem ostatnim marca 1860 r

sne mu przed oczy jego dawne, szlachetne, ludzkie wymagania, jego pierwotnej wiary dogmata; zawstydę go herezyą, upokorzę niedostatkiem, przerażę nietrwałością. A kto przyjdzie swoim rozumem się pysznić, kto się zacznie przederną swoim udoskonaleniem lubować, swoją cnotą popisywać, o! temu śmiech niemiłosierny, temu ironia najpiółnniejsza, bo co mi to za rozum co się nauczył „nie umieć“, co mi to za udoskonalenie, co, bodaj w najwyższości swojej, wyrzeczenia się dosięgnęło, co mi za cnota, co chlebem błogosławionym ni pięciu, ni czterech tysięcy bliźnich nie nakarmi, tylko sama nic nie jeść i być głodną potrafi. Wierzcie mi, dawni moi, nie warto się za niczém z przeszłości naszej oglądać. Dobry był nasz, ukochanie nasze, mądrość nasza, prawda i świętość nasza nie z tego co minęło, ale z tego ku czemu dążymy; tam, przed nami, dalekolei, czy blisko? Pan wie, ale zawsze, zawsze przed nami. O ileśmy wyteżonego wzroku piaskiem sobie nie zapruszyli, o ile zostało nam siły do pragnienia i spodziewania się, o ile dobrej woli do tego, by sobie zapracować, by otrzymać i zrzeczywistnić, o ile krótko mówiąc „przyszłości“ nam zostało, o tyle przeszłość z potępienia okupiona, a dusza ku zbawieniu idzie. Nie, nie, ja nie żałuję niczego, ja, co z rozbicia tę wzniosłą, tę wiekiutą uratowałem nadzieję. Ani mi tęskno za wami, lata moje wiosenne, ani za wami, zmienni czy niezmienni przyjaciele moi, ani za wami także, coście się rozsypali po cmentarnych błoniach, z sercem nienasyconém, z wywróconą ku niewschodzącemu słońcu powieką, nawet za wami nie tęskno; im wy dalej, tym bliżej właśnie. Ku wam to idę, gdy idę ku światłu i nieskończoności. Was to straconych odnajdę, gdy się dojmę nakoniec tej prawdy, w którą wyście uwierzyli, gdy się rozkocham miłością tego coście wy ukochali, gdy się rozraduję szczęściem takim, jakiegoście wy pragnęli. Spadajcie w otchłań wszystkie chwile rozdziału! tocz się po drodze swojej rydwanie Jaggernauty indyjskiej, rozgniataj na miazgę wspomnienia, upodobania, złości czy niedołęztwa, przyjemności czy cierpienia, grzechy czy zasługi; rozgniataj na miazgę kołami swojemi i głowy, którebyśmy w pieszczącym tulili uścisku, i ręce któreby się do nas z chętną wyciągnęły pomocą, i serca jadu pełne, i kłamstwem opryszczone języki; rozgniataj kołami swemi, a tocz się prędzej rydwanie, aby bliżej, aby bliżej!

To wszystko, co mi z pod pióra uciekło, nie ma najmniejszego związku z tém co napisać do szanownego „Tygodnika Ilustrowanego“ zamierzyłam. Najściślej się ograniczając pierwotnym założeniem, po prostu chciałam, i obowiązkiem to moim było powiedzieć redakcyi, lub też łaskawym czytelnikom, jeżeli... ma się rozumieć, jeżeli czytelników mieć będę, powiedzieć im, że nas kilka osób siedziało przy kominku, ale nie przy tym kominku, który to niegdyś słuchacze Benjamina i czytanój „Książki Pamiątek“ obsiadali, tylko przy zupełnie innym, lecz sama przez się mało znacząca, i nie wiem czemu taki długi wstęp z głowy mi wyciągnęła, taki długi, że gdyby przed chwilą jakiś hałas nie przerwał, tobym jeszcze snuła, snuła różne rzeczy, wcale „nie do rzeczy“ należące. A tym czasem to miało znaczyć jedynie, żeśmy siedzieli przy kominku i zajmowali się kwestyą, jak to już na tytule wyraziłam, niestety! kwestyą... wstyd powiedzieć, podrzędna. Teraz, gdy jest tyle pierwszorzędných kwestyj, gdy można sobie słowo po słowie rozjaśniać w sumieniu, zakorzeniać w żelaznej woli i znieśmiertelniać w chrześcijańskim uczuciu, bardzo to nieładnie żeśmy podrzędnych dotknęli przedmiotów, ale na usprawiedliwienie odwołam się do zwyczajnego: „Kto jest bez grzechu, niech kamieniem ciśnie;“ kto nigdy dwóch godzin jednym ciągiem nie rozmawiał o pogodzie, o modach, o wieczorku tańczącym, lub o śmiesznościach sąsiedzkich, ten ma prawo podpisać wyrok skazujący nas, choćby na półroczne milczenie. Już ja wiem, że surowi purytanie wzruszą ramionami i potępią ten mój argument obronny; cudze plamy naszych własnych plam nie osłonią, cudze grzechy to wcale nieprzydatne mydełko na obmycie naszych własnych grzechów... A więc z innego punktu sprawę naszą przedstawię. Istotnie, zajmowaliśmy się kwestyą „podrzedną“, wszelako muszę oświadczyć, że ją podrzedną nazwałam dlatego jedynie, bo są inne, pilniejsze do roztrząśnienia; mogłabym ją sprawiedliwiej może kwestyą „przedwczesną“ nazwać. Nie-

zawodnie musi ona kiedyś na wierzch wypłynąć. Wyobrażam sobie nawet, że za jakie lat 666 (liczba apokaliptyczna), może za 1,000 (liczba apostołska, ma oznaczać dzień jeden przed obliczem Pańskim), może z resztą za lat dwa tysiące, dajmy na to, zbierze się w jakimś państwie europejskim wiec poważny, z senatem i kołem rycerskim, albo ze starszyzną po prostu i z młodzieżą przez młodzież wybraną, a pan marszałek wniesie na posiedzeniu, według porządku dziennego, to, o czémśmy przy kominku, w gronie poufnych znajomych radzili. Przypuściwszy, że już wszystkie interesa wszystkich stowarzyszeń, i kolei żelaznych, i powietrznych balonów, i elektrycznych telegrafów załatwiono, że pozawierano traktaty, zwinęto armije, zasiano odłogi, urządzono górnictwo, wyeksploatowano lądy i oceany; przypuściwszy, że już nagadano się o wszystkim, o czém jeszcze gadać nie zaczęto, a zrobiono wszystko, o czém gadają dopiero; przypuściwszy Utopią, Ikaryą (byle nie z ulą pszczolnego fotografowany falanster, bo mam trochę wstrętu do owadów), przypuściwszy różne jeszcze niepodobniejsze przypuszczenia, dlaczegóżby się nakoniec o rozwinięciu czysto uczuciowych stosunków społeczeństwa naradzać nie miano? Już dzisiaj dla niektórych jest to kwestya życia lub śmierci, cóż dziwnego gdyby za lat... daję blankiet na wpisanie cyfry... stała się państwa jakiego kwestyą żywotną. Prócz tego, muszę wyznać pokornie, że gdyby w gromadzie naszej rozbierano ważniejszy, lub, jak tam zechce się kto wyrazić, poważniejszy przedmiot, nie śmiałabym, nie mogłabym w charakterze sprawozdawcy, ani opowiadacza przed żadną „Ilustracją“ wystąpić, brak mi ku temu środków właściwych, (proszę przeczytać „zdolności.“)

Na moje więc autorskie szczęście, wywiązała się kwestya tylko podrzędna. Nie pamiętam kto z nas wśród potocznej rozmowy rzucił nagle te słowa:

— A czy wiecie państwo, że w tym tygodniu był ślub Heliodora. Dla tych, którzy chcą wszystko zaraz kategorycznie wiedzieć, dołącza się osobny przypisek. (*)

— Ślub Heliodora! powtórzyło parę głosów z przyjaznym akcentem.

— Szczęść mu Boże, dorzucił solo jakiś głos kobiety.

— A toż się nakoniec z panną Józefą ożenił, rzekł jeden z tych panów, w przejeździe tylko od czasu do czasu nawiedzający Warszawę.

— Cóż znowu, z panną Józefą? odezwał się inny, stały tutejszy mieszkaniec. Heliodor się z tą piękną, z tą zachwycającą Marynią C* ożenił.

— Przecież słyszałem zawsze, że się o pannę Józefę stara.

— Że się stara... to historia bardzo stara, musiałeś ją słyszeć co najpóźniej przeszłego roku przy najmniej.

— Tak jest, przeszłego roku słyszałem z pewnością.

— Dzień do dnia niepodobny, wtrąciła pani Karolina.

— A jakże ma być serce przeszłoroczne do tegorocznego serca podobnym, przydała z uśmiechem trochę melancholicznym panna Wiktorya.

Lecz nim dalszy ciąg rozmowy przeprowadzę, możeby się należało choć najlżejszym konturem odkreślić różne osobistości, które w niej udział brały. Jest to wprawdzie maleńkie nadużycie, bo mię żadna z nich do tego nie upoważniła, ale ponieważ to się trochę przyda do lepszego zrozumienia różnych ustępów naszej gawędki, więc na bok wszelkie odsuwam skrupuły; i autorowie mają czasem swoje „racye stanu.“ W każdym razie przekonom wymienione tu pseudonymy, że umiem bydź „dyskretną“, t. j. umiem powiedzieć co można, a zamilczyć, co jest do toku sprawy niepotrzebne.

Było nas wszystkich razem siedmioro: cztery kobiety, trzech mężczyzn. Z kobiet, ta co się najpierw

(*) Heliodor pochodzi z dość majątnej obywatelskiej rodziny. Przyszedł na świat i był ochrzczony, Heliodorem, ma się rozumieć, w Poznańskim; później z rodzicami i trzema braćmi do królestwa się przesiedlił. Kończył szkoły w Warszawie, został urzędnikiem, ma teraz lat 28, prześliczne niebieskie oczy, twarz ściągłą, cerę świeżą, nos kształtny, usta dość wydatne, serce bardzo poczciwe, zdolności umysłowe wcale bystre, talent do muzyki znakomity, choć nierozwinięty, głos tenorowy przyjemny, ma nadto cztery tysiące pensyi, no... i żonę, według tego, co się już powyżej wzmiankowało.

odezwała, Pani Karolina, rozsądna i obowiązkowa, panna Wiktorya łagodna, wyrozumiała, czasem o marzycielstwo niesłusznie pomawiana, Olesia ładna, trochę złośliwa, trochę, jak się wyrażają przez grzeczność, nie dziwaczka, tylko ekscentryczna, pisząca to... trudno to swój własny portret z najwybitniejszym charakterem fizyognomii odznaczyć, przynajmniej powiem jaką

Adolf nakoniec... lecz cóżby tu o panu Adolfie „szczególnego“ powiedzieć? Jest to głos z chóru, niech inni dobrze nótę trzymają, on pewnie nie sfałszuje. W takiej tedy galeryjce obrazków dalszą wiodło się rozmowę.

— Co słyszę, moja droga?, zawołałam na ostatnią, lekko niby przyganiającą uwagę panny Wiktoryi, je-

to wioząc produkta z Polski do Węgier, już przewożąc sławne wina do Biecza, Krakowa i Lwowa. Ci wieśniacy, mniej dbając o rolę własną, gdy mieli z furmanki zarobek hojny, przebywając długi czas nieraz w Węgrzech, już to oczekując na towary, już też na wino ze świeżego winobrania, przejęli ubiór miejscowy, a zarzucili własny.



WŁOŚCIANIE Z OKOLIC BIECZA.

(Rysował A. Piwarski, rytowali Kübler i Rudkowski w drzeworytni „Tygodnika“).

byłam tego wieczoru... byłam sumienną i w dobrej wierze badającą. Co zaś do panów, to był ten który ze wsi przyjechał, pan Hilary, nadzwyczaj prawy i uczuciowy, czyli według zdania żartobliwych kolegów, choć to nigdy mojem nie stało się zdaniem, miękkiego serca człowiek; pan Jerzy z zimną krwią a ostrym dōwcipem, smutny w głębi duszy, a w towarzystwie sofistycznie, paradoksalnie wesoły; pan

zli się nie mylę, masz coś gorzkiego w sercu przeciw naszemu Heliodorowi; toć ja pamiętam, że uniewinniałaś daleko większych od niego zbrodniarzy.

— I pana Heliodora nie potępiał wcale; znam go jeszcze bardzo mało, z sądów ludzkich same korzystne dochodziły mi o nim wyroki; że się miał żenić, i z kim się miał żenić, zaledwie mi to kiedyś koło ucha przeleciało. Dopiero tak, w tej chwili, gdy zestawiono razem dwa kobiece imiona, jakiejś panny Józefy i jakiejś zachwycającej Maryni, mnie się żal trochę panny Józefy zrobiło.

Tu nastąpiła przynajmniej dwutaktowa pauza. Niektóre z pomiędzy nas osoby wielką miały do Heliodora sympatyę, a panna Wiktorya imieniem panny Józefy nienajkorzystniej przesłoniła jego złotowłose i błękitnookie wspomnienia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dwóch kmięci, których drzeworyty przedstawiają, mają ubiór całkowicie chłopów węgierskich; obaj przyodziani w bundy oryginalnego kroju, jakich kmięci polski w żadnej okolicy ziemi naszej nie używa. Spodni ubiór, pas nawet, równie jak okrycie głowy, są czysto węgierskie. Kapelusze, jaki widzimy, jest kroju włościan Słowaków w Tatrach; czapka drugiego, przypomina więc kmięci ruskich, galicyjskich Bojków z gór cyrkułu stryjskiego. Ubranie to obce, zmienia tak postać okolicznych Bieczowi włościan, że mniemasz iż jesteś raczej na cudzej ziemi, niż w dawnym krakowskim, gdzie lud odznacza się w innych okolicach tak pięknym i malowniczym strojem.

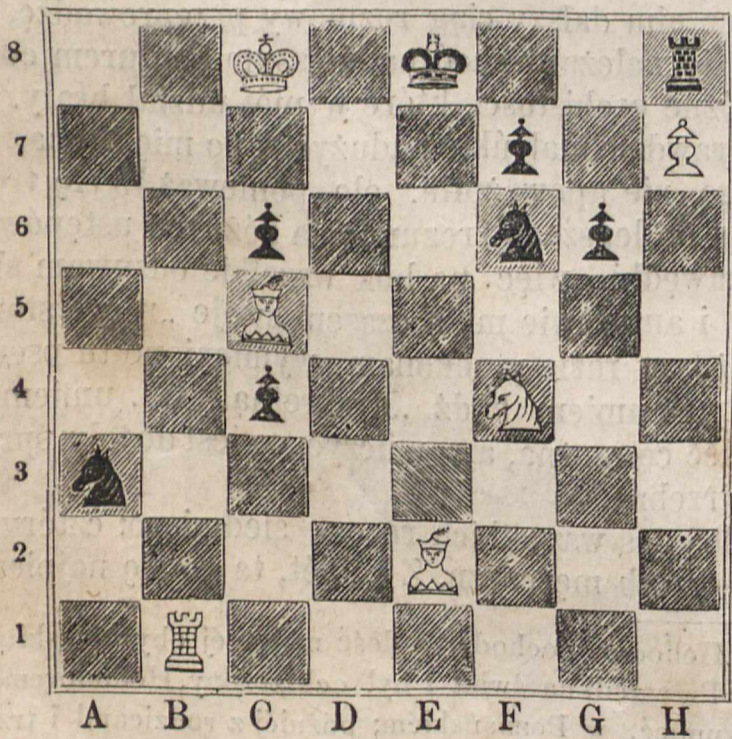
SZACHY.

ZADANIE XI

(Bajera w Wiedniu)

Białe zaczynają i dają mat za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 10.

Białe.

Czarne.

- 1) H 3 — C 8 Gdzikolwiek posuną, zawsze nastąpi mat za drugim posunięciem.

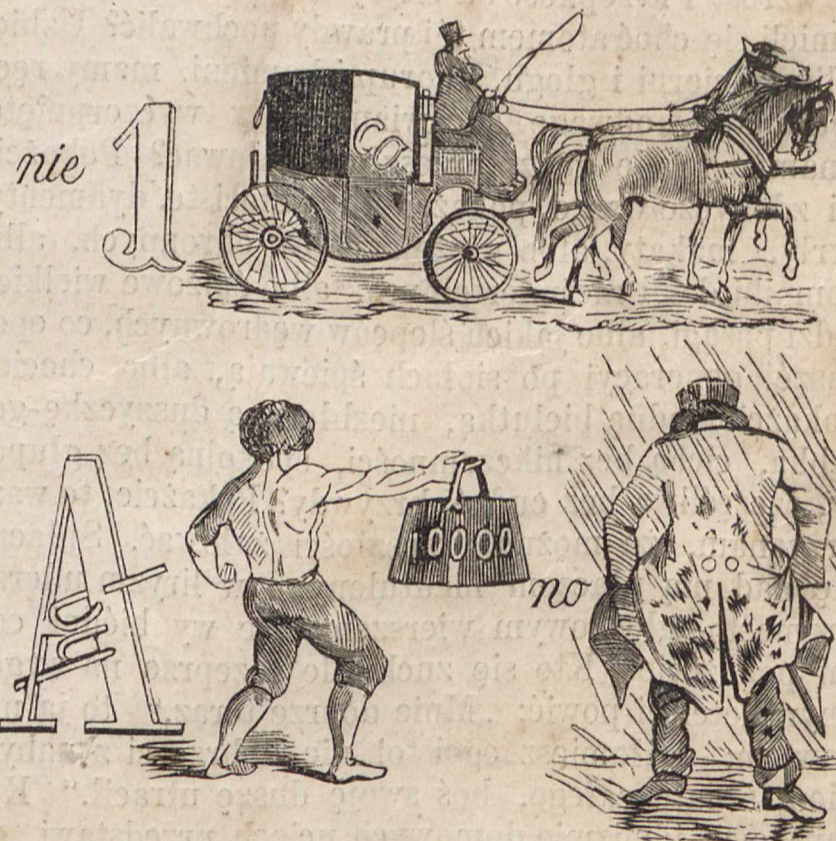
Wieśniacy z okolic Biecza.

Podajemy w dwóch drzeworytach ubiory włościan z okolic miasta Biecza.

W numerze 10 z r. 1859 naszego „Tygodnika“, czytelnicy poznali dzieje tego miasta; obecnie dodamy tylko, że leży o 15 mil od Krakowa, a 5 mil od Sącza, na głównym gościńcu z Węgier do Polski. Miało ono szczególną sławę: tu bowiem dawniej kształcili się w swém rzemiośle kaci, których brano do miast innych rzeczypospolitej. Ztąd wspomnienie Biecza było niemalym postrachem licznych niegdyś band rozbójniczych w górach; schwytanego albowiem opryszka, po krótkim sądzie ścinano, albo co częściej, wieszano. Miejscowe podanie mówi, że na raz 116 rozbójników powieszono.

Położony, jakeśmy mówili, na głównym trakcie z Węgier, ułatwioną miał Biecz komunikacją z tym krajem, a wieśniacy okoliczni korzystali niemało, już

REBUS



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 15.
Ludzie są sobie równi, bo każdy ma dwa łokcie.